

Kanały, czyli emocjonalna historia Powstania Warszawskiego



Grupa powstańców po wyjściu z kanału na ul. Wareckiej na początku września 1944 r.

SEBASTIAN PAWLINA

Kanały, czyli emocjonalna historia Powstania Warszawskiego

Trudno w historii Powstania Warszawskiego doszukać się postaci równie kontrowersyjnej, co Włodzimierz Kozakiewicz „Barry”. Szefa żandarmów na Starym Mieście jedni zapamiętali niemalże jako bandytę stosującego gestapowskie metody. Dla innych stał się człowiekiem, który dzięki swojemu zdecydowaniu uratował jeśli nie tysiące, to setki osób. Dominujące są jednak te pierwsze opinie, tworzące od 75 lat jego czarną legendę. Pełne pretensji, złości i żalu, w dużej mierze zapewne uzasadnionych. Brutalne metody, jakie on sam oraz jego żołnierze stosowali w czasie ewakuacji oddziałów powstańczych ze Starówki na początku września, trudno podważyć. Wspomnienia powstańców są ich pełne. Pojawiają się w nich wyzwiska, groźenie bronią, odpychanie ludzi. W szczególnie zapalnych sytuacjach musieli interweniować dowódcy oddziałów. Jak wtedy, gdy „Barry” domagał się od dowództwa Starówki zgody na użycie broni wobec samych powstańców (Podlewski 1957, s. 562).

Ostatecznie mimo przeprowadzania ewakuacji w skrajnie trudnych warunkach uratowano wówczas kilka tysięcy ludzi. Kiedy miesiąc później na Mokotowie próbowano powtórzyć ten wyczyn, efekt okazał się dramatyczny. Wszystko to, co na początku września funkcjonowało, tym razem nie zadziało. Zawiodły ochrona włączów, pilnowanie kolejności schodzenia do kanałów, komunikacja pod ziemią. Nie wynikało to jednak z winy ludzi. Postawieni wobec rzeczywistości wykraczającej poza zdolność pojmwania, a przede wszystkim – kontrolowania, nie byli w stanie nic zrobić. Musieli przegrać.

Obie te opowieści, zestawione obok siebie, pomagają lepiej zrozumieć samo Powstanie Warszawskie. Pokazują, w jak olbrzymiej mierze rządziły nim emocje.

Do tego stopnia, że wszystko, co się wówczas działo, można opowiedzieć ich językiem. Dopóki powstańcy potrafili jeszcze dostrzec nadzieję, nieważne czy realną, czy jedynie wyobrażoną, znajdowali w sobie siłę do przeprowadzenia najbardziej karkołomnych operacji. Gdy tej nadziei zabrakło, organizacja i dyscyplina rozsypały się, co doprowadziło do tragedii. Bo w porównaniu ze staromiejską ewakuacją ta mokatowska stała się koszmarem, doskonale oddanym w *Kanale* Jerzego Stefana Stawińskiego oraz w jego filmowej adaptacji Andrzeja Wajdy.

W tym tekście spróbuję pokazać, w jaki sposób emocje pomagają opowiadać o historii, a także jak mocno wpływają na przebieg wydarzeń. Żeby uporządkować narrację, ograniczę się do jednego zaledwie elementu powstańczej rzeczywistości – do kanałów.

Podjęmę tu próbę zrekonstruowania tego szalenie ulotnego elementu naszej codzienności, jakim są emocje. Jako odczucie pojawiające się nagle, pod wpływem konkretnych wydarzeń czy osób, są trudne do uchwycenia w materiałach źródłowych. Tak jak nagle powstają bowiem, tak równie szybko potrafią zniknąć. W efekcie na istnienie nadziei, złości, bezradności czy niepewności nie ma twardych dowodów, przez co odtwarzanie ich staje się dla historyka procesem poszlakowym. Dlatego też trzeba pamiętać, że wszystko, co zostanie tutaj na ich temat napisane, należy traktować z odpowiednią dozą dystansu i powątpiewania.

Emocje w teorii

Zacznę jednak od uwag natury ogólnej – mniej pasjonujących niż opowieść o kanałach i emocjach, ale niezbędnych do lepszego zrozumienia zagadnienia. Trzeba jasno podkreślić, że mówienie o emocjach sprawia problem już na poziomie kategoryzacji zarówno jeśli chodzi o podział emocji samych w sobie, jak i sposób ich powstawania.

Jak stwierdza Kamil Imbir, psycholog specjalizujący się w relacjach między emocjami a procesami poznawczymi, „emocje niewątpliwie są jednym z centralnych przedmiotów badań psychologii [...]. Ale nadal, mimo postępu badań i licznych konceptualizacji [...] nie ma konsensusu co do natury, struktury i funkcji emocji” (Imbir 2012, s. 11).

W przyjętej przez siebie taksonomii ludzkich emocji Imbir opisuje dwie grupy – emocje automatyczne oraz emocje refleksyjne. Podstawowa różnica między nimi leży już w sposobie ich powstawania. Ścieżka tworzenia emocji automatycznych jest krótsza (bodziec – wzgórze – ciało migdałowe – reakcja), z czego wynika funkcja, jaką te emocje pełnią. „W sensie ewolucyjnym emocje te są skryptami pozwalającymi sobie radzić z zagrożeniami wywołanymi dynamiką procesów organizmalnych oraz stanami środowiska zewnętrznego, które mogą być awersyjne lub (zmysłowo) atrakcyjne” (tamże, s. 45). Występują w postaci impulsów, które skłaniają albo do walki czy ucieczki, albo „do zbliżania się do tego, co wywołuje przyjemność, wobec tego, co dzieje się w środowisku”.

Zupełnie inaczej rodzą się emocje refleksyjne (bodziec – wzgórze – kora mózgowa – ciało migdałowe – reakcja). Poprzedza je „ocena rzeczywistości lub jej antycypowanych możliwych stanów, porównywanych z wyartykułowanymi

standardami tego, co dobre czy złe, a w zależności od tego, czy sytuacja pasuje do danego wzorca, dany czy antycypowany stan rzeczy zostaje określony jako mniej lub bardziej pozytywny czy negatywny". Te emocje tworzą się pod wpływem wartościowania, są więc zależne od wcześniejszych doświadczeń i poglądów, chociaż samo wartościowanie może przebiegać w sposób zautomatyzowany.

Inną kategoryzacją, na którą powołuje się Kamil Imbir, jest ta zaproponowana przez amerykańskiego psychologa Roberta Plutchika. Opiera się na ośmiu głównych emocjach, tworzących cztery przeciwstawne pary. Przez ich wzajemne oddziaływanie na siebie powstają „emocje mieszane”. Dobrze oddaje to poziom skomplikowania emocji, których powstawanie jest zależne od sytuacji, uwarunkowań kulturowych, a także od indywidualnych cech pojedynczego człowieka (Rosenwein 2015, s. 380). W przypadku każdego z nas tworzą one niepowtarzalną mieszankę, co z jednej strony czyni temat trudnym do generalizowania, a jednocześnie tak pasjonującym.

Żeby nie gmatwać jeszcze bardziej problematyki kategoryzacji emocji, zatrzymajmy się w tym miejscu. Z przedstawionych koncepcji widać, że wśród specjalistów nie ma zgody co do tego, jak je uporządkować. Dla nas najbardziej atrakcyjna w kontekście historii emocjonalnej jest koncepcja emocji automatycznych i refleksyjnych. Jednocześnie trudno nie zgodzić się z wizją Plutchika, zakładającą, że emocje wzajemnie na siebie wpływają, tworząc coraz bardziej skomplikowane układy.

Czym jednak jest ta historia emocjonalna, a raczej – czym powinna być? Emocje jako nierozdzielna część życia człowieka wywierają na niego wpływ. Czasem większy, innym razem mniejszy, ale niezaprzeczalny. Stają się tym samym elementem jego codzienności. Kolejnym kluczem do zrozumienia, co, jak i dlaczego robi. Historia emocjonalna wydaje się szczególnie przydatna w opisach sytuacji skrajnych, przełomowych, takich jak z jednej strony wojny, rewolucje, a z drugiej katastrofy naturalne, co znakomicie widać na przykładzie badań Haralda Welzera (Welzer 2010, s. 43–45). Burząc zastane ramy społeczne, w których ludzie nauczyli się funkcjonować, zmuszają ich do wyjścia poza sprawdzone schematy zachowań. To, co dotąd było dobre, w nowej rzeczywistości może uchodzić za złe. To, co było naganne, po zmianie może się stać akceptowalne. Dla wielu ludzi, jak przekonuje Jonathan Lear (Lear 2013, s. 91), przeprowadzenie takiej zmiany systemu wartości stanowi poważne wyzwanie, co z kolei może prowadzić do powstania bardzo silnych emocji.

Te, poza krótkotrwałym wpływem na człowieka, potrafią odciskać swoje piętno na nim przez długie lata, a nawet na kilku pokoleniach jego bliskich. Długotrwałe odczuwany strach może na przykład doprowadzić do traumy. Ta zaś, jak wynika z badań z zakresu epigenetyki, może być (choć nie musi, to ciągle wymaga potwierdzenia) dziedziczona nie tylko społecznie, lecz także genetycznie (Ziółkowski, Frejłak 2017). Sprawia to, że badanie emocji naszych przodków może nam pomóc lepiej zrozumieć nasze własne emocje (Łucka, Nowak 2014). Jest więc historia emocjonalna z jednej strony sposobem na opowiadanie o przeszłości, z drugiej zaś szansą na lepsze zrozumienie teraźniejszości.

Emocja pierwsza: nadzieja

Na początku jest nadzieja. Często niepewna, bazująca tylko na pragnieniu, aby stało się to, co uważamy za dobre dla nas czy dla grupy, z którą się identyfikujemy. Tak było w Warszawie na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., kiedy tysiące żołnierzy podziemia i dziesiątki tysięcy cywili marzyło o tym, żeby wypędzić Niemców z Warszawy. Widać to w zapiskach świadków tamtych dni.

Jednym z najpowszechniejszych widoków w ich wspomnieniach są niemieckie kolumny wycofujące się ze wschodu na zachód. Przypominały one warszawiakom sceny obserwowane w 1941 r., gdy potężna niemiecka machina wojenna zmierzała w stronę ZSRR. Tym razem jednak nastroje były inne – zarówno Niemców, jak i Polaków. Ci pierwsi szli ze spuszczoneymi głowami, uciekając przed sowieckim natarciem, pod którym w rozsypkę szły dywizje i armie. Drudzy podnosili głowy wysoko, najwyżej od pięciu lat. Ryszard Górecki „Majtek” z batalionu „Parasol” pisał po latach, że „to był obrazek niezapomniany w swej urodzie”. Przyglądając się temu odwrotowi, on i jego koledzy, byli pewni, „że takie łachudry wojny z nami nie wygrają. Zwłaszcza mając na karku wielką armię. Rozpierzchną się jak stado baranów” (Górecki 1977, s. 211).

Nadzieja na wyzwolenie Warszawy czasem zamieniała się w złość, nienawiść, chęć zemsty – jak u Moniki Żeromskiej: „W nocy 31 lipca przeżywam atak strachu, że nic się nie dzieje, że huczące z daleka, z pustych ulic transporty wojska niemieckiego odjadą wreszcie, miasto ucichnie i nic się nie stanie, że oni uciekną, umkną nam bez kary” (Żeromska 1994, s. 99, 100).

U innych nadzieja mieszała się z radością. Był wśród nich Stanisław Jankowski „Agaton”, cichociemny i architekt:

23 lipca 1944 roku staliśmy z „Krystyną” w milczącym tłumie na rogu Nowego Świata i Alei Jeruzolimskich. Patrzyliśmy z satysfakcją i z pogardą. Niemcy uciekali. Nie cywilne władze i volksdeutsche, chyłkiem, po nocy, ładujący ukradziony dobytek na ciężarówki, ale wojsko niemieckie, jawnie, w biały dzień! Szeroką jezdnią Alei Jeruzolimskich ciągnął nieprzerwanie, od wielu godzin, sznur wojskowych pojazdów i sprzętu, ciężarówek i wszelkiego autoramentu pojazdów konnych: furgonów, bryczek, wozów drabiniastych. Zrezygnowani kierowcy nie usiłowali wyprzedzać konnych pojazdów, ciągniętych przez wychudzone szkapy w dziwnych uprzężach. Nieliczne, zwarte oddziały i tłum zmęczonych, brudnych, nieogolonych żołnierzy. Szli zza Wisły, na zachód, w kierunku Woli i Ochoty. Gorąco było. Szli w rozpiętych mundurach, z gołymi głowami, z karabinami, trzymanymi niedbale za lufę, lub bez broni. Wolno, noga za nogą, przystając co chwila. Przysiadali na skraju chodnika, odpoczywali i szli dalej. Nie patrzyli nam w oczy. Długo czekaliśmy na taki widok (Jankowski 2019, s. 482).

W końcu powstanie wybuchło. Już w pierwszych dniach pozbawione jednolitego i sprawnego dowództwa, zaczęło się zamieniać w zbiór oddzielonych od siebie zrywów, zamkniętych w poszczególnych dzielnicach i powoli duszonych przez Niemców. Jeden po drugim. Ochota, Wola, Stare Miasto... Ale ten rozpad, obserwowany od samego początku, nie odebrał jeszcze nadziei. Wobec narastających trudności z komunikacją między dzielnicami zaczęto szukać nowego źródła komunikacji.

Szczególny nacisk kładziono na znalezienie połączenia z Mokotowem, z którym od 1 sierpnia dowództwo powstania nie miało kontaktu. Po wielu próbach przedarcia się wszystkimi możliwymi trasami naziemnymi ze Śródmieścia na Mokotów przez kompletny przypadek zdecydowano się spróbować jeszcze jednej trasy – kanałów. Przed wybuchem walk nie brano ich pod uwagę ani jako drogi łączności, ani trasy dla oddziałów bojowych. Powstanie miało się zakończyć w ciągu kilku dni, wobec czego schodzenie pod ziemię nie miało racji bytu. Ale rzeczywistość zdecydowała inaczej.

Nocą z 5 na 6 sierpnia 1944 r. dwie łączniczki – jedną z nich była Elżbieta Gross „Ela”, po wojnie Ostrowska – zeszyły do wjazdu kanałowego na placu Trzech Krzyży. Dysponując jedynie starymi planami kanałów, ruszyły przed siebie. Pozostawione przez „Elę” opisy przejścia na Mokotów są pełne niewyobrażalnych trudności, z jakimi musiały mierzyć się te dwie młode dziewczyny:

W postawie zgiętej wpół ciężko oddychać, pot zalewa twarz, drętwieją nogi. Byle prędeej, byle się nie zatrzymywać! Szum w uszach rośnie, przed oczami ukazują się czerwone płatki, łączą się ze sobą, zlewają w plamy, wirują. Prędeej, prędeej! [...] Każdy krok staje się męką. Smugi przed oczami zlewają się z cieniem wzdłuż ścian, zatracą się granica rzeczywistości, braknie rozeznania. Kanał przytłacza, obejmuje ścianami jak mackami, zamyka w nich, wysysa resztę oddechu (Ostrowska 1984, s. 104, 107).

W tych warunkach najbardziej naturalną emocją był strach. Strach, że się nie znajdzie celu, że się zabłądzi, że się zgubi w całkowitych ciemnościach, że zginie się na dole, że zostanie się zaatakowanym przez szczury. Tymczasem w opowieści Ostrowskiej odnajdujemy także inne emocje – nadzieję i radość. Pierwsza wynikała z przekonania, że jej misja ma duże znaczenie dla przebiegu powstania. Druga – ze świadomości, że tam na dole Niemcy nic jej nie mogą zrobić. Nie wiedząc o niej, jej nie zagrażają. Widać to, gdy pisze, że „z uczuciem grozy i utwierdzonej przez lata wzgardliwej nienawiści miesza się niepodziewanie miłe uczucie przekory i satysfakcji, uczucie bezmiernej radości, która by chciała krzyczeć i śpiewać, że szwabska żelazna potęga nie zdoła nam przeszkodzić, że wbrew niej wykonamy zadanie” (tamże, s. 104).

I zadanie udało się wykonać. Dzięki dwóm łączniczkom nawiązano łączność z Mokotowem. Ich misja przyniosła jeszcze jeden efekt – dowództwo powstania przekonało się o tym, jak przydatne mogą być w walce kanały. W ciągu kilku dni uruchomiono kolejne trasy kanałowe. Wszystkie były wyrazem nadziei, że powstanie jeszcze uda się uratować, że są na to środki. Jednocześnie jednak kanały stały się symbolem kolejnej emocji, która miała z różnym natężeniem towarzyszyć stronie polskiej do samego końca – bezradności.

Emocja druga: bezradność

Ten etap emocjonalnej historii powstania jest trudny do jednoznacznego wskazania w źródłach. Czytając je, znając przebieg walk, automatycznie wyczuwa się tę bezradność. Widzi się, że wszystkie podejmowane starania nie mają szansy zmienić losu zrywu. Mimo to kolejni łącznicy i łączniczki schodzili te kilka metrów pod ziemię, w ciemność totalną, żeby przynieść rozkazy, meldunki, broń, amunicję, żywność, lekarstwa, żeby ludziom odciążyć

od swoich bliskich dostarczać listy.

Bezradność dotyczyła nie tylko braku realnego wpływu na bieg wypadków, lecz także przebywania w samych kanałach. Zmagania z warunkami panującymi na dole stawały się odbiciem zmagania toczonych na powierzchni z Niemcami. Tam przeciwnikiem był człowiek i jego śmiertelność maszynaria, tutaj, w ciągnących się kilometrami tunelach – własne słabości, fizyczne i psychiczne. Relacje powstańców są ich pełne.

Eleonora Lewandowska „Nora” notowała, jak szła, „trąc silnie grzbietem o sklepienie, chcąc wbrew możliwościom unieść się trochę wyżej. A wyżej był tylko kamienny strop, który bezlitośnie przygniatał do ziemi! Ogarnęła mnie rozpacz. Uczułam, że ta droga to szaleństwo, że ja jej nigdy nie przebędę!” (Kaczyńska 1993, s. 25).

Tak z kolei swoje doświadczenia opisywał Janusz Polkowski „Sójka”:

Okazuje się, że sąsiedni dom na Mazowieckiej się palił i dym znalazł ujście przez rury kanalizacyjne. Nie normalnie do komina, tylko przez rury kanalizacyjne do kanału szedł dym. Potem dym się przerzedził i we dwóch weszliśmy. Pierwsze wejście było okropne, bo człowiek wpadł w tą rurę ściekową, smród ogromny, ale później to już się nie czuło. [...] Worek amunicji ciążył, więc jak nie trafiło się drążkiem na obwód kanału, to worek ciągnął do dna, piętnaście kilo. Jakie przygody były po drodze? Przygoda była taka, że w pewnym momencie dochodzimy do miejsca, gdzie [kanał] się rozgałęzia. Jeden kanał idzie lekko pod górę, z niego wali rwąca woda. Drugi kanał, stosunkowo suchy, w prawo. Ten z kanalizacji mówi, że raczej powinniśmy iść w ten z rwącą wodą. Ale to nie bardzo się [nam] uśmiechało, bo pół kanału zalane wodą, tak że bardzo trudny do przejścia. Któryś poszedł w tą odnogę suchą, ale wrócił, bo ślepa. Zostało nam albo do przodu w tą rwącą wodę, a do tyłu nie ma mowy, bo nie wypada (Polkowski 2008).

Kazimierz Sheybał „Antek”, doświadczony przewodnik kanałowy, człowiek, który w kanałach czuł się bezpieczniej niż na powierzchni, w spisanych po wojnie wspomnieniach opowiadał o powstańcu, który po wejściu do bardzo niskiego i wąskiego kanału dosłownie stracił nad sobą kontrolę. „Byliśmy świadkami (jeżeli można być świadkiem czegoś w tak przeraźliwie ciasnej i ciemnej przestrzeni) – typowego szoku nerwowego związanego z poczuciem zamknięcia. Objawił się on przeraźliwym krzykiem, przechodzącym w jęk i skomlenie, a chwilami w nerwowy szloch – co delikwent czynił, nie bacząc na obowiązujące tu rygory” (Sheybał, k. 34).

We wszystkich trzech pokazanych przypadkach przyczyny bezradności były podobne – klaustrofobiczne warunki panujące w kanale, całkowita ciemność otaczająca ludzi, obijanie się o ściany, konieczność radzenia sobie z nieczystościami czy wysokim stanem wody. Niekiedy, jak widać w historii opowiedzianej przez Sheybała, prowadziło to do załamania nerwowego.

Wyżej, na powierzchni, sytuacja przybierała podobne kształty. Szczególnie na Starym Mieście, gdzie pod koniec sierpnia 1944 r. również trzeba było radzić sobie z coraz mocniejszym poczuciem zamknięcia. Niemieckie okrążenie z każdym

dniem zaciskało się bowiem mocniej i mocniej, aż w końcu dowództwo powstania musiało podjąć decyzję o wycofaniu się. Znakomicie tę sytuację podsumowała w swoich wspomnieniach Barbara Niewiadomska-Kardasz „Skowronek”, mówiąc, że „nad Starym Miastem zawisło jakieś złowieszcze fatum. Jakby przeszło tędy czterech jeźdźców Apokalipsy, pozostawiając po sobie zło i zagładę” (Rumianek 2010, s. 263).

Emocja trzecia: niepewność

Najpierw podjęto próbę przeprowadzenia oddziałów oraz ludności cywilnej górą. Akcję przebiecia się do Śródmieścia wyznaczono na noc z 30 na 31 sierpnia. Niestety, z braku odpowiednich sił operacja zakończyła się klęską. Jedyne niewielka grupa powstańców zdołała przejść przez Ogród Saski do polskich stanowisk w Śródmieściu. Reszta została zmuszona do cofnięcia się w sam środek staromiejskiego kotła, z którego – jak wielu wówczas myślało – nie było już ucieczki.

Pozostała jednak droga ratunku – kanały. To wtedy narodziła się ich legenda. Wycofanie kilku tysięcy żołnierzy kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz (o czym rzadko się wspomina) stanowi nie tylko najlepiej znany epizod z ich wykorzystaniem, lepiej nawet niż pokazana przez Wajdę ewakuacja Mokotowa, lecz także jeden z symboli Powstania Warszawskiego.

Ten symbol wykuwał się w warunkach absolutnie nieludzkich. Sceny, do jakich dochodziło w kanałach, a także na powierzchni, na placu Krasińskich i w jego okolicach, przypominają żywcem wyjęte z apokaliptycznych wizji końca świata – takich jak te z tryptyku Hansa Memlinga, z podziałem na zbawionych (to ci, którym udało się zejść do kanału), potępionych (wszyscy, którzy musieli zostać na Starówce) oraz wydających sądy (personel sanitarny i żandarmeria). Żeby się o tym przekonać, nie trzeba daleko szukać. Relacje świadków są pełne podobnych obrazów. Tak zapisał oglądane przez siebie sceny autor quasi-reportażu o walkach batalionu „Gozdawa”:

W krzykach goryczy i żalu czuło się bezmiar krzywd, ofiar i gehenny ludności, która cierpiała i umierała tak samo jako żołnierze, a nie miała nawet chwili satysfakcji, jaką daje aktywna walka z wrogiem. Płacz przenoszonych, wyrwanych ze snu dzieci, jęki i przekleństwa rannych porzuconych bez opieki, błagania starców o pomoc zlewały się z wybuchami pocisków granatników i wystrzałami w jakąś makabryczną symfonię chaosu i zniszczenia. Najbardziej makabryczne wrażenie sprawiała para staruszków, którzy za nic nie chcieli opuścić pomieszczenia w zasypanej gruzem stróżówce na rogu Podwała i Kapitulnej. Dom już płonął, a żadne argumenty nie trafiały im do przekonania. Dopiero płomienie zmusiły tych ludzi do opuszczenia domu ze złowrogim „oby was Bóg pokarał” (Gustaw, k. 11).

W tym samym czasie personel medyczny musiał podejmować decyzję, kto może zejść do kanału, a kto nie. Tych, którzy musieli pozostać, niemalże skazywano na śmierć. Wiedzano, co Niemcy zrobili z rannymi na Woli. Tadeusz Pogórski „Morwa”, lekarz batalionu „Gozdawa”, wspominał później, jak idąc zatłoczonymi korytarzami jednego z powstańczych szpitali, wskazywał palcem: ten idzie, ten też, ale ten zostaje, i tamten, i ten obok także. „I nigdy nie zapomnę ich

wzroku, jak patrzyli na mnie jak na wyrokodawcę. Trudność, powiedzmy, polegała na tym, że jeżeli miałem żołnierza z przestrelonym ramieniem, na wyciągu, ze stosunkowo świeżym postrzałem, zagrożonego szokiem, to nie wolno mi było ulec emocji ze względu na innych przechodzących przez kanały” (Zawodny 1994, s. 321). W jego relacji jednak wyraźnie daje się odczuć swoistą niepewność – niepewność wynikającą z wątpliwości, czy wolno mu wydawać takie wyroki. „Jeżeli ich pozostawię – mówił – pozostawię ludzi, którzy dali z siebie wszystko, co może w ogóle człowiek dla ojczyzny dać”.

Innego typu wątpliwości opadły Annę Jakubowską „Paulinkę”, sanitariuszkę z batalionu „Zośka”. Ona nie zastanawiała się nad tym, czy ma zostawić obcych sobie ludzi, ale własną siostrę, Marię Swierczewską „Marynę”, także sanitariuszkę. Poważnie rannej, nie można było sprowadzić do kanału. Wiedząc, co może je czekać, „Paulinka” zdecydowała się zostać z nią. Chciała to zrobić wbrew rozkazowi, który jasno tłumaczył, że wszyscy żołnierze mają obowiązek opuścić Stare Miasto. Wtedy do akcji wkroczyli koledzy i koleżanki Anny Jakubowskiej. Zaczęli jej tłumaczyć, że nie może tego zrobić. „Sugerowali, że Marysia ma szansę na szybką operację – a więc na przeżycie – wyłącznie po stronie niemieckiej, że szpital oznaczony czerwonym krzyżem ocaleje. W końcu uciekli się do szantażu moralnego: jesteś potrzebna, musisz pomóc przejść kanałami innym, lżej rannym. Jesteś żołnierzem i nie masz prawa w warunkach wojennych kierować się prywatnym, osobistym interesem” (Jakubowska, Bukalska 2018, s. 13–14). Ostatecznie „Paulinka” zeszła do kanału, zostawiwszy siostrę. „Maryna” zginęła 2 września 1944 r. w wyniku zbombardowania szpitala.

Niepewności musieli się pozbyć żandarmi pilnujący kolejności wchodzenia do kanału. Ludzie Włodzimierza Kozakiewicza „Barry’ego” zgodnie z otrzymanymi rozkazami mieli nie wpuszczać nikogo, kto nie posiadał przepustki albo nie należał do oddziału, który zgodnie z wyznaczonym harmonogramem powinien akurat schodzić pod ziemię. O tym, że swoją pracę wykonywali sumiennie, świadczą dziesiątki relacji o starciach pomiędzy nimi a powstańcami. Starcia, w których trakcie grożono im bronią, pluto na nich, nazywano gestapowcami. Ale oni nie pozostawali dłużni, również używając argumentów siłowych.

W źródłach nie ma śladów tego, o czym wtedy myśleli jedni i drudzy, jakie emocje nimi targwały. Można jedynie zgadywać. Tym, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, jest mieszanka trzech emocji. Dwie pierwsze to właśnie niepewność, czy to, co robią, ma sens wobec otaczającego ich koszmaru, oraz nadzieja, która pchała ich w stronę kanału, stanowiącego jedyną szansę na ratunek. Trzecia zaś to strach. Być może czuli jeszcze, że są w stanie walczyć z Niemcami, choć nie w tym miejscu. A może zwyczajnie mieli w sobie jeszcze tak silną wolę życia, że mimo wszelkich trudności byli w stanie przeprowadzić ewakuację, która zdawała się niemożliwa do zrealizowania. Trzy tygodnie później tej nadziei już nie będzie.

Emocja czwarta: strach

Choć ostatecznie przejście kanałami w Powstaniu Warszawskim nastąpiło wraz z upadkiem Żoliborza 30 września, ta wielka rola kanałów zamyka się *de facto* wraz z kapitulacją Mokotowa 27 września. Koniec walk o tę dzielnicę nadszedł niespodziewanie szybko. Jeszcze kilka dni wcześniej obrońcy Mokotowa, patrząc

na przybyłych kanałami obrońców Czerniakowa, przekonywali ich i siebie, że pokażą, jak się walczy. Gdy jednak runęło na nich niemieckie natarcie, w krótkim czasie doświadczyli, że to nie jest takie proste. Dowódca Mokotowa wobec braku innych możliwości podjął decyzję o odwrocie. I ponownie wzrok powstańców skierował się pod ziemię.

Tym razem jednak zabrakło im wszystkiego tego, co mieli powstańcy na Starym Mieście: sprawnie działającej żandarmerii, realizującej dobrze opracowany plan, odpowiedniej liczby przewodników (trasa z Mokotowa do Śródmieścia była dłuższa niż ze Starówki do Śródmieścia, przez co przewodnicy nie mogli na niej kursować z taką samą częstotliwością jak ich koledzy i koleżanki na przełomie sierpnia i września, wykonujący w ciągu dnia po kilka kursów), zapewniających odpowiedni spokój w tunelach.

Wszystko to złożyło się na fatalne warunki panujące na dole. Wobec braku właściwej kontroli wchodzących, wobec braku ludzi panujących nad wydarzeniami na dole dochodziło do dantejskich scen. Ludzie niemający dotąd kontaktu z kanałami, z ich ciemnością, smrodem, nieznający przebiegu tras, a przy tym skrajnie wyczerpani fizycznie i psychicznie, szybko wpadali w panikę. Żeby ją pokazać, wystarczy jeden cytat – taki jak ten ze wspomnień Tadeusza Janowskiego „Seredy” z batalionu „Czata 49”. W źródłach podobnych są dziesiątki. Wszystkie równie nieprawdopodobne:

Wyobraziłem sobie, że kiedyś wyciągną mnie z tych górien i moja żona i dziecko będą to oglądały. Przyszła mi na myśl córka – „ratuj się!” Zacząłem wycofywać się w kierunku z powrotem na Mokotów. Szedłem powoli, czułem pod nogami ciała ludzkie, broń. Podszedł do mnie kolega i powiedział: – „Tadeusz, Tadeusz, ja tylko wypiję herbatę i kładę się do łóżka”. Ludzie strzelali do siebie, w obłędzie odbierali sobie życie. Po strzałach mogłem sądzić, że kilka osób popełniło wtedy samobójstwo, może pięć, sześć. Nie mogli już wytrzymać, mimo że tyle przeszli w Powstaniu. Nie widziało się już ratunku dla siebie. To był okropny moment, psychoza, koszmar. Ja wycofałem się jakieś 300–400 metrów, nie wiem zresztą ile, i położyłem się, półstojąc, na ścianie kanału. Ile czasu tak leżałem – nie wiem. Czas mi się zatracił. Znalazłem w kieszeni panterki dwie kostki cukru. Zacząłem je powoli ssać i usnąłem. Znowu nie wiem, jak długo spałem (Kobos 1994, s. 84–85).

Na co dzień ludziom trudno mówić o emocjach. Wiele osób uczy się tego latami. Jeszcze trudniejsze wydaje się pisanie o nich z perspektywy lat. Najtrudniejsze zaś jest wyciąganie wniosków na podstawie tego, co historyk znajduje we wspomnieniach czy pamiętnikach. Sonke Neitzel i Harald Welzer piszą o czterech warstwach systemów odniesienia, czyli „matryc porządkujących i organizujących schematów interpretacyjnych”. Ostatni, czwarty, poziom to w ich ujęciu „każdorazowo szczególne właściwości, sposoby percepcji, wzorce interpretacji, zobowiązania itp., które dana osoba wnosi do jakiejś sytuacji. Na tej płaszczyźnie chodzi o psychologię, o predyspozycje osobiste oraz o kwestię indywidualnego podejmowania decyzji” (Neitzel, Welzer 2014, s. 18).

To zdecydowanie najtrudniejszy do uchwycenia ze wszystkich systemów odniesienia, często nawet dla samych badanych. Emocje zdecydowanie kwalifikują się do niego. Jako wytwór chwili nawet w momencie zapisywania ich w pisany na bieżąco dzienniku mogą tracić na wyrazistości albo przeciwnie – nabierać nadmiernego znaczenia. A co dopiero, jeśli mówimy o wspomnieniach pisanych po latach, gdy te emocje są już wielokrotnie przepracowane, przemyślane, obrosłe latami myślenia o nich, później zdobywaną wiedzą.

Być może nauka nigdy już nie posiada umiejętności badania emocji z perspektywy historycznej. Być może już zawsze będziemy skazani na domysły, przypuszczenia i doszukiwanie się odpowiedzi, których nie ma. Ale jednocześnie emocje są tak integralną częścią życia człowieka (Damasio 2011, s. 31–32), w tak znaczącym stopniu wpływają na nasze decyzje, że nieuwzględnienie ich w badaniach wydaje się jeśli nie błędem, to świadomym pozbawianiem się istotnej perspektywy na przeszłość. Odwołując się do badań Antonia Damasia, można nawet powiedzieć, że przy pomijaniu emocji podmiotów badań nasza wiedza o historii, tak jak osoba niezdolna do odczuwania emocji, będzie w jakimś stopniu upośledzona. Dopóki jednak nie nauczymy się opowiadać o tym z pełnym przekonaniem, trzeba pamiętać, jak kruche są podstawy, na których opierają się teksty takie jak ten – pełne pytań i wątpliwości, a pozbawione jednoznacznych odpowiedzi. Tak jak niejednoznaczne bywają same emocje.

Bibliografia

- Damasio A. (2011), *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, tłum. M. Karpiński, Poznań.
- Gustaw (b.d.), *Archiwum Akt Nowych, Akta Jana Mazurkiewicza, sygn. 69, „Ostatnie nasze dni na Starym Mieście (walki oddziałów osłonowych »Gustawa«)”*.
- Górecki R. (1977), *Przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat*, Warszawa.
- Imbir K. (2012), *Odmiennosc emocji automatycznych i refleksyjnych. Poszukiwanie różnicowania neurobiologicznego i psychologicznego*, Warszawa.
- Jakubowska A., Bukalska P. (2018), *Szkoła pod powieką*, Warszawa.
- Jankowski S. (2019), *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, Warszawa.
- Kaczyńska D. (1993), *Dziewczęta z Parasola*, Warszawa.
- Kobos A. (1994), *Kanały w Powstaniu Warszawskim, „Zeszyty Historyczne”, nr 109*.
- Lear J. (2013), *Nadzieja radykalna. Etyka w obliczu spustoszenia kulturowego*, tłum. M. Rychter, Warszawa.
- Łucka I., Nowak P. (2014), *Włosy babci – trauma transgeneracyjna, „Psychiatria i Psychologia Kliniczna”, nr 14 (2)*.
- Neitzel S., Welzer H. (2014), *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, tłum. V. Grotowicz, Warszawa.
- Ostrowska E. (1984), *W Alejach spacerują „Tygrysy”. Sierpień–wrzesień 1994*, Szczecin.
- Podlewski S. (1957), *Przemarsz przez piekło*, Warszawa.
- Pólkowski J. (2008), *Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, relacja Janusza Pólkowskiego spisana przez Iwonę Brandt 7 marca 2008*.

Rosenwein B.H. (2015), *Obawy o emocje w historii*, „Teksty Drugie”, nr 1.
Rumianek A. (2010), *Batalion „Bończa”. Relacje z walk w Powstaniu Warszawskim na Starówce, Powiślu i Śródmieściu*, Gdańsk.
Sheybal K. (b.d.), AAN, Akta Anny Wyganowskiej-Eriksson, sygn. 4, „Służba w kanałach”.
Welzer H. (2010), *Wojny klimatyczne. Za co będziemy zabijać w XXI wieku*, tłum. M. Sutowski, Warszawa.
Zawodny J.K. (1994), *Uczestnicy i świadkowie Powstania Warszawskiego. Wywiady*, Warszawa.
Ziółkowski J., Frejłak H. (2017), *Holas: W głowach Polaków trwa wojna*, magazynkontakt.pl, wywiad z Pawłem Holasem z 4 grudnia 2017.
Żeromska M. (1994), *Wspomnień ciąg dalszy*, Warszawa.

Korekta językowa: Beata Bińko